

Kabuliwala



RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

*Kabuliwala*¹

TŁUM. JERZY BANDROWSKI

Moja mała pięcioletnia córeczka nie może żyć bez paplania. Jestem głęboko przekonany, że w całym swoim życiu ani minuty nie strwożyła na milczenie. Matka się o to nieraz gniewa i chciałaby jej szczebiotaniu koniec położyć, ale ja nie. Dla mnie widok Mini milczącej jest nienaturalny i długo znieść go nie mogę. Toteż zwykle bardzo żywo z sobą rozmawiamy.

Na przykład pewnego dnia, kiedy byłem w połowie siedemnastego rozdziału swej nowej powieści, Mini wśliznęła się ukradkiem do mego pokoju i wzięwszy mnie za rękę, oświadczyła mi:

— Ojczy, odźwierny Ramdajal mówi na wronę, że to kruk! Ale on się na tym nie zna, prawda?

Zanim mogłem jej wytłumaczyć rozmaitość zwyczajów wyrażania się, już żeglowała po wodach innych tematów:

— Co na to powiesz, ojczy? Bholā mówi, że na niebie w chmurach jest słoń i ten słoń wyrzuca wodę z trąby, i wtedy deszcz pada!

Zaś gdy ja w zamyśleniu szukałem stosownej odpowiedzi, ona wystrzeliła nowym pytaniem:

— Słuchaj, ojczy, czy matka jest twoją krewną?

— Jest siostrą mej duszy — szepnąłem mimo woli, a potem zrobiłem poważną minę i rzekłem:

— A teraz idź i baw się z Bholą, Mini! Ja jestem zajęty!

Okno mego pokoju wychodzi na ulicę. Mała usiadła mi u nóg na ziemi koło biurka i bawiła się po cichutku, bębniąc sobie po kolankach. Ja pracowałem pilnie nad swym siedemnastym rozdziałem, w którym bohater, Pratap Singh, właśnie trzyma w ramionach bohaterkę i zamierza uciec z nią, wyskakując przez okno trzeciego piętra, gdy naraz Mini przestała się bawić, podbiegła do okna i zawołała:

— Kabuliwala! Kabuliwala!

Istotnie, ulicą szedł powoli Kabuliwala. Ubrany był w przestronne suknie swego narodu, z wielkim turbanem; na plecach niósł worek, a w rękach miał skrzynki z owocami. Nie wiem, co się mojej córeczce stało, ale naraz zaczęła go głośno wołać.

„Ach!” — pomyślałem sobie. — „Ten mi tu teraz wejdzie i ja nigdy tego siedemnastego rozdziału nie skończę!”

W tej chwili Kabuliwala się obejrzał i ujrzał dziecko. Jak tylko Mini to zauważyła, złąkła się nagle i uciekła do matki. Miała widać przesądne wyobrażenie, że ten wysoki mężczyzna niesie może w swym worku na plecach dwoje czy troje dzieci takich jak ona. A tymczasem handlarz minął już bramę i powitał mnie z uśmiechem na twarzy.

Mimo iż sytuacja, w jakiej znajdowała się moja bohaterka i mój bohater, była istotnie niebezpieczna, uczulem się zmuszony do pozostawienia ich na chwilę własnemu losowi i kupienia czegoś od tego człowieka, którego przecie do domu zawołano. Parę drobiazgów od niego kupiłem, a przy tej sposobności wywiązała się też między nami pogawędka o Abdur Rahmanie, Rosjanach, Anglikach i policji granicznej.

Na odchodnym zapytał:

¹*Kabuliwala* — sprzedawca owoców, pochodzący z Kabulu. [przypis edytorski]

— A gdzie ta mała dziewczynka, proszę pana?

Przyszedłszy do przekonania, że Mini należałoby z jej niedorzecznego strachu wyleczyć, kazałem ją zawołać.

Stała przy moim krześle i przyglądała się Kabuliwali z jego workiem. Częstował ją orzechami i winogronami, jednakże jej nieufność z tego powodu jeszcze wzrosła. Mini nie dała się niczym skusić, a tylko tym mocniej trzymała się mnie.

Takie było ich pierwsze spotkanie.

Jednakże pewnego poranka, zaledwie parę dni później, wychodząc z domu, zauważyłem ku swemu niezmiernemu zdumieniu rzecz zupełnie nieoczekiwaną. Oto Mini siedziała na ławce przed domem i śmiejąc się, gawędziła z Kabuliwalą, który siedział u jej stóp. Zdawało się, że — wyjąwszy oczywiście ojca — moja córeczka w życiu swym nie miała uważniejszego słuchacza. A już koniec jej malutkiego sari pełen był migdałów i rodzynków, którymi obdarzył ją gość.

— Po co jej tyle tego dajesz? — zapytałem i podałem mu pół rupii.

Kabuliwala wziął pieniądze bez wahania i wsunął go do kieszeni.

Niestety, kiedy za godzinę wróciłem, pokazało się, że pieniążek wywołał dwa razy większą awanturę, niż był wart. Albowiem Kabuliwala dał go Mini, a gdy matka ujrzała w jej rękach świecąca monetę, natychmiast wpadła na nią.

— Skąd masz te pół rupii?

— Kabuliwala mi ją dał! — odpowiedziała Mini ucieszona.

— Kabuliwala! — wykrzyknęła matka z przerażeniem. — O, Mini, jakże mogłaś ją przyjąć od niego!

W tej chwili nadszedłem i uratowałem ją od grożącego niebezpieczeństwa. A potem zacząłem ją badać.

Pokazało się, że oboje nie pierwszy raz mieli ze sobą schadzki. Kabuliwala przezwyciężył lęk dziecka, uciekający się do sprytnego przekupstwa orzechami i migdałami, tak że oboje byli już w jak najlepszej przyjaźni.

Wymyślali najrozmaitsze wesołe historie, które ich nadzwyczaj bawiły. Mini, która z całą swą malutką godnością siedziała naprzeciw niego, z góry patrząc na olbrzyma, aż kurczyła buzię ze śmiechu, pytając:

— O, Kabuliwala, Kabuliwala! Co tam masz w tym swoim worku?

Zaś on odpowiadał nosowym tonem górala:

— Słonia!

Nie jest to bynajmniej tak okropnie śmieszne, ale oni oboje bawili się tym dowcipem nadzwyczajnie. Zaś dla mnie było zawsze coś dziwnie pociągającego w tej dziecinnej rozmowie z dojrzałym człowiekiem.

Kabuliwala, który przecie też nie chciał pozostać w tyle, pytał:

— A ty, mała, kiedy przeniesiesz się do domu swego teścia?

Otóż większość małych dziewczetek bengalskich od najmłodszych lat słyszy o domu swego teścia, my jednak, rodzice trochę nowocześni, nie opowiadaliśmy dziecku o tych rzeczach, wobec czego Mini musiała się czuć tym pytaniem trochę zakłopotana. Nie chcąc jednak dać tego po sobie poznać, odpowiedziała dowcipnie:

— A czy ty tam idziesz?

Jest rzeczą znaną, że wśród ludzi tego rodzaju, co Kabuliwala, słowo „dom teścia” ma dwojakie znaczenie. Jest to eufemizm oznaczający więzienie jako miejsce, w którym się jest dobrze zaopatrzonym, a nie musi się za nic płacić. W tym sensie zrozumiał też zacny handlarz pytanie mej córeczki.

— O! — wykrzyknął, grożąc pięścią niewidzialnemu policjantowi. — Już ja memu teściowi dobrze kurtę skroję!

Mini, wyobrażając sobie biednego krewnego Kabuliwali w tej sytuacji, wybuchnęła głośnym śmiechem, w czym jej srogi przyjaciel zawtórował.

Zabawy te odbywały się przeważnie rano, jesienią, w tej porze roku, kiedy za dawnych czasów królowie wyruszali na podboje, zaś ja, który się nigdy ze swego ciasnego kąta w Kalkucie nie ruszałem, wysyłałem ducha swego na wędrówkę po całym świecie. Jak tylko usłyszałem nazwę jakiegoś obcego kraju, serce moje niemal się wrywało do niego, zaś na widok cudzoziemca na ulicy zaczynałem natychmiast snuć całą sieć marzeń — góry, przesmyki w dolinach, lasy jego dalekiej ojczyzny, wśród nich jego chata

Żart

Podróż

i wolne, niezależne życie dalekiego pustkowia. Może obrazy obcych krajów malują się w mej fantazji tak jaskrawo i żywo dlatego, że wiodę żywot właściwie zupełnie roślinny, do tego stopnia, iż gdyby mi kazano wyjechać w podróż, miałbym wrażenie, że piorun we mnie strzelił. W obecności tego Kabuliwali czułem się natychmiast przeniesiony w kraj leżący u stóp gołych skalistych grzbietów górskich, między którymi wiją się ciasne, jakby wydrążone w głazach ścieżki. I widziałem schodzące w niziny łańcuchy obładowanych towarami wielbłądów i grupy kupców w turbanach, uzbrojonych w dziwną starodawną broń palną i dzidy. Widziałem — lecz wtedy stawała przede mną matka Mini, błagając mnie, „abym się miał na ostrożności przed tym człowiekiem”.

Matka Mini jest niestety kobietą bardzo bojaźliwą. Jak tylko usłyszy jakiś szmer na ulicy lub zobaczy ludzi idących w kierunku naszego domu, zaczyna się od razu bać, zaczyna sobie w swej trwodze wyobrażać, że to muszą być złodzieje, pijacy, węże, może tygrysy, malaria, karaluchy lub też marynarze angielscy. Nawet po doświadczeniach wielu lat nie może trwogi swej przewyciężyć. Kabuliwali nie dowierzała w najwyższym stopniu i prosiła mnie wciąż, abym na niego bacznie uważał.

Próbowałem z całą miłością obrócić w śmiech jej obawy, ona jednak traktowała tę sprawę zupełnie poważnie i pytała mnie uroczyście:

— Czy nie zdarzało się nigdy, że dzieci kradziono? Czy nie jest prawdą, że w Kabulu istnieje niewolnictwo? Czy zupełnie nie można sobie wyobrazić, że ten ogromny chłop mógłby uprowadzić takie malutkie dziecko?

Odpowiadałem, że — choćby to nie było niemożliwe — jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne. Oczywiście to jej nie wystarczało i obawy trwały w dalszym ciągu, ponieważ jednak nie miała żadnej określonej przyczyny, nie wypadało jej zabronić Kabuliwali wstępu do domu i ten poufaly stosunek rozwijał się w dalszym ciągu.

Raz na rok, w połowie stycznia, zwykł był Rahman Kabuliwała wracać do swej ojczyzny i kiedy się ta pora zbliżała, Kabuliwała miała mnóstwo do roboty z bieganiem od domu do domu i ściąganiem swych wierzytelności. Jednakże mimo wszystko miał tego roku czas na odwiedzanie Mini. Ktoś przyglądający się temu wszystkiemu z boku mógłby przypuszczać, że oni się chyba ze sobą zmaiwali, bo jeśli Kabuliwała nie mógł przyjąć rano, z pewnością zjawiał się wieczorem.

Ja sam wdrygałem się czasami, natknąwszy się niespodziewanie w kącie jakiegoś ciemnego pokoju na tego ogromnego mężczyznę w przestronnym ubraniu, obwieszonym workami i skrzynkami, kiedy jednak widziałem, jak Mini wybiegała wesoło do niego ze swym: „Och, Kabuliwała! Kabuliwała!” i jak ci tak różniący się między sobą wiekiem przyjaciele znowu zaczęli się śmiać i żartować ze sobą, uspokajałem się natychmiast.

Pewnego poranku, parę dni przed zamierzonym powrotem Rahmana do kraju, siedziałem w swej pracowni nad korektami. Chłodno było. Pęk promieni słonecznych padał przez okno na moje nogi i ta odrobina ciepła sprawiała mi przyjemność. Dochodziła ósma i wcześni przechodnie chronili głowy od zimna. Naraz usłyszałem na ulicy jakiś zgiełk, a wyrzawszy z okna, zobaczyłem prowadzonego przez dwóch policjantów Rahmana, związanego i otoczonego gromadą ciekawych pauprów. Na ubraniu Kabuliwali widać było plamy krwi, a jeden z policjantów niósł nóż. Wybiegłem przed dom, zacząłem wołać i pytać, co to wszystko ma znaczyć. Częścią od tych ludzi, częścią od innych dowiedziałem się, że ktoś z sąsiedztwa był handlarzowi winien za szal rampurski, później jednak kupna tego się wyparł i podczas kłótni, jaka z tego powodu powstała, Rahman pchnął go nożem. W podnieceniu zaczął teraz jeniec w straszny sposób na swego nieprzyjaciela wymyślać, gdy naraz na werandzie mego domu znalazła się moja mała Mini ze zwykłym swym okrzykiem:

— Och, Kabuliwała! Kabuliwała!

Rahman natychmiast zwrócił się do niej rozpromieniony. Tym razem nie miał na plecach worka, dlatego nie mógł już rozprawić z nią o słoniu. Wobec tego ona przeszła do drugiego pytania:

— Czy idziesz do domu swego teścia?

Rahman roześmiał się i rzekł:

— Tak jest, mała, żebyś wiedziała, idę do domu teścia.

Zaś widząc, że ten żart nie zrobił na dziecku wrażenia, podniósł w górę skrepowane ręce.

Strach

— Och! — wykrzyknął. — Dałbym ja staremu teściowi porządnie w skórę, gdyby mi rąk nie związane.

Skazano go za morderstwo na kilkanaście lat więzienia.

Czas mijał, przestano o nim myśleć. Pracowaliśmy jak zwykle na swym zwykłym miejscu, rzadko tylko albo i wcale już nawet nie wspominając górala, kiedyś wolnego, a dziś spędzającego swe lata w więzieniu. Ze wstydem muszę wyznać, że także moja lekomyślna Mini zapomniała o przyjacielu. Nowe znajomości wypełniły jej życie. W miarę jak zaczynała dorastać, obcowała coraz więcej z dziewczętami, spędzając z nimi tyle czasu, że nigdy już nie przychodziła jak dawniej do pokoju ojca. Prawie że nie mówiliśmy z sobą.

Minęły lata. Była znowu jesień, a my poczyniliśmy właśnie przygotowania do wesela naszej Mini. Miało się ono odbyć podczas świąt Pudża. W czasie kiedy Durga powraca na Kailas, miało do domu małżonka odejść światło domu naszego, pogrążając go w ciemnościach.

Był pogodny poranek. Powietrze po deszczu było jakby wymyte do czysta, a promienie słoneczne wprost ze szczyrego złota. Świeciły tak jasno, że użyczały blasku piękności nawet brudnym ceglany muirom naszych kalkuckich ulic. Już wczesnym rankiem zabrzmiały dudy weselne, a każdy ich ton szarpał mym sercem. Żałosna melodia Bhairawi powiększała jeszcze mój ból z powodu czekającego mnie rozstania. Dziś wieczór miała moja Mini wyjść za mąż.

Od wczesnego ranka dom pełen był zgiełku i niepokoju. Na dziedzińcu trzeba było na żerdziach bambusowych rozpiąć baldachim. W każdym pokoju, na każdej werandzie zawieszano z wielkim brzękiem świeczniki. Końca nie miało ciągle latanie i pośpiech. Siedziałem właśnie w swej pracowni, przeglądając rachunki, gdy ktoś wszedł z niskim pokłonem i stanął przede mną. Był to Rahman Kabuliwala. Zrazu nie poznałem go. Nie miał swego worka, jego długie włosy były krótko ostrzyżone, nie było też już na jego twarzy właściwego mu wyrazu siły. Poznałem go jednak, gdy tylko się uśmiechnął.

— Kiedy przyszedłeś, Rahman? — spytałem go.

— Wczoraj wieczorem wypuszczono mnie z więzienia — odpowiedział.

Przykro zabrzmiały mi w uszach te słowa. Dotychczas nie rozmawiałem był² jeszcze z nikim, kto zranił swego bliźniego, i serce skurczyło się we mnie, kiedy sobie to przypomniałem, bo teraz rozumiałem, że dzień zacząłby się pod lepszą wróżbą, gdyby on nie przyszedł.

— U nas jest dziś w domu święto — odezwałem się — skutkiem czego jestem bardzo zajęty. Czy nie mógłbyś przyjść kiedy indziej?

Natychmiast zwrócił się ku wyjściu, ale u drzwi zawahał się i rzekł:

— Czy nie mógłbym choć na chwilę zobaczyć malej?

Wyobrażał sobie, że Mini wciąż jeszcze jest taka sama, jak była, że natychmiast wybiegnie do niego z okrzykiem: „Och, Kabuliwala! Kabuliwala!”, myślał też pewnie, jak to będą się znów śmiać i żartować jak za dawnych czasów, a nawet przyniósł na pamiątkę tych minionych dni starannie zawiniętą w papier garść migdałów, rodzynków i winogron, wyproszonych zapewne u któregoś z rodaków, bo on sam nie miał już nic do darowania.

Rzekłem znowu:

— Święto jest w domu. Nie będziesz się mógł z nikim zobaczyć.

Wyraz wielkiego rozczarowania rozlał się po jego twarzy. Przez chwilę patrzył na mnie, jakby zastanawiając się nad czymś, potem powiedział: „Do widzenia” i wyszedł.

Było mi go tak żal, że chciałem go przecie zawołać, gdy naraz sam wrócił. Podeszedł do mnie, podał mi swój podarunek i rzekł:

— Przyniosłem malutkiej tych parę drobiazgów. Czy zechce je pan dać jej ode mnie?

Wziąłem torebkę i chciałem mu zapłacić, ale on chwycił mnie za rękę, mówiąc:

— Bardzo pan jest dobry, drogi panie! Niech pan o mnie nie zapomina, ale niech pan zostawi pieniądze. Pan ma córeczkę, ja w domu mam też takie maleństwo. O niej myślę, przynosząc pańskiej córeczce owoce — a nie, żeby przy tym coś zarobić.

To rzekłszy, sięgnął do kieszeni swej luźnej szaty i wyjął mały brudny skrawek papieru. Rozwinąwszy go bardzo starannie, rozłożył obu dłońmi na mym biurku. Na papierze

²rozmawiałem był — przykład użycia czasu zaprzeczonego, konstrukcji już zanikającej w polszczyźnie, wyrażającej czynność wcześniejszą, niż działania opisywane czasem przeszłym. [przypis edytorski]

widać było odciski małej rączki. Nie fotografię. Nie rysunek. Odcisk zasmarowanej atramentem rączki, którą położono płasko na papierze. Ten ślad córeczki z roku na rok nosił na sercu, odkąd przyjechał do Kalkuty, aby handlować na ulicach swoim towarem.

Łzy stanęły mi w oczach. Ten odcisk rączki jego małej Garvati w dalekiej górskiej ojczyźnie przypomni mi moją własną małą Mini.

Natychmiast posłałem kogoś do apartamentów wewnętrznych i kazałem zawołać Mini. Robiono mi najrozmaitsze trudności, ale nie zważałem na nie. Wreszcie zjawiała się Mini w czerwonej jedwabnej sukni ślubnej, z namalowanym na czole sandałową pastą znakiem, ubrana jak panna młoda, i stanęła zawstydzona przede mną.

Pojawienie się jej zmieszało trochę Kabuliwałę. Nie wiedział, w jaki sposób odświeżyć dawną znajomość. Wreszcie zapytał z uśmiechem:

— Mała, więc idziesz do domu swego teścia?

Ale Mini rozumiała już znaczenie słowa „teść” i nie mogła mu odpowiedzieć jak za dawnych czasów. Za całą odpowiedź zarumieniła się tylko i stała tak przed nim, oblubienica sponiona ze spuszczoną twarzą.

Mimo woli przyszedł mi na myśl dzień, w którym Kabuliwała spotkał się pierwszy raz z moją Mini, i zrobiło mi się dziwnie smutno. Kiedy odeszła, westchnął Rahman głęboko i usiadł na podłodze. Prawdopodobnie przyszło mu na myśl, że przez ten czas i jego córka musiała już dorosnąć i że teraz trzeba będzie na nowo zdobywać jej przyjaźń — w każdym zaś razie nie zastanie jej taką, jaką ją znał kiedyś. A prócz tego — mało to rzeczy mogło się zdarzyć w przeciągu tylu lat?

Zabrzmiały dudy weselne, a łagodne słońce jesienne załało nas światłem. Ale Rahman siedział wciąż jeszcze na podłodze, zapatrzony w duchu w nagie grzbiety Afganistanu.

Wyjąłem banknot i podałem mu go, mówiąc:

— Wracaj do swej córki, Rahmanie, i oby radość waszego spotkania przyniosła szczęście memu dziecku.

Prawda, skutkiem tego podarunku trzeba było uroczystości weselne poniekąd okroić. Musiała odpaść iluminacja oraz muzyka wojskowa, co bardzo popsło humor moim paniom. Za to mnie ucztę weselną znacznie radośniejszą robiła myśl, że w dalekim kraju tak długo nieobecny ojciec połączył się znowu ze swym jedynym dzieckiem.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-kabuliwala>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, Głodne kamienie i inne opowiadania, tłum. Jerzy Bandrowski, Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.